

JAKUB
MAŁECKI
SATURNIN

SATURNIN

JAKUB
MAŁECKI
SATURNIN

KRAKÓW 2020

Dla Marty

Wiem bardzo mało, tyle tylko, że mój brat jest wężem, że sama nie żyje, i parę innych rzeczy. Wszystko mi się miesza, może tak być powinno.

Miałam na imię Irka, nazwiska nie pamiętam, chyba było na „M”. I chyba byłam ładna. Czasami nosiłam warkocz, lubiłam się śmiać, a kobieta, co się śmieje, może nawet być taka sobie, a i tak jest ładna.

Nie przejmowałam się w życiu znanadto, zdawało mi się, że to niepotrzebne. Oczywiście miałam się czym przejmować – każdy ma. Ja powodów miałam czasami więcej niż inni, tak mi się wydaje.

Jestem jak niedobre nastrojone radio, co odbiera sygnał z kilku różnych stacji. Opalony chłopiec tańczący wokół kobiety z niebiesko-białą torbą. Otyły starzec z wielką mapą na kolanach. Rozczochrana szatynka szarpie skrzynkę na listy. Spocony żołnierz wpelzający przez okno do samochodu. Mogłabym tak wymieniać. Obrazy przesiakają tutaj, oglądam je, bo co robić.

Bywają też takie chwile, że pamiętam całe mnóstwo swoich żyć, a tylko nie umiem powiedzieć, które było prawdziwe. Wiem bardzo mało. Tyle tylko, że mi na imię Irka. I że to wszystko jest o mnie.

CZĘŚĆ I

Rozdział pierwszy

Moja mama niesie półtora kilograma słońca w dużej niebieskiej materiałowej torbie w białe pasy, a ja drepczę obok, niecierpliwym, z obolałą szczęką. Skórę mam opaloną na kawę z mlekiem – tak mówi czasem dziadek. To najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Mama powiedziała, że jeśli dzielnie zniosę wyrwanie dwóch zębów, kupi mi, co tylko będę chciał. Dobrze rozumiem, że sformułowanie „co tylko będę chciał” to tak naprawdę skrót od „co tylko będę chciał, ale tak, powiedzmy, do piętnastu złotych”, to jednak niczego nie zmienia, bo nie wyobrażam sobie, czego można by chcieć za więcej niż piętnaście złotych.

Chciałem oczywiście półtora kilograma słońca. Nie dałbym rady zjeść naraz więcej niż jedno opakowanie, ale skoro poczułem, że wraz z deklaracją mamy otwiera się szansa na zrobienie zapasów, postanowiłem spróbować to wykorzystać. Kupiliśmy więc waniliowe, czekoladowe i toffi. Dreptałem obok mamy, co jakiś czas podskakując, i roztrząsałem kwestię wyboru smaku, który po przyjsciu do domu zjem jako pierwszy. Nie pamiętam już nazwy tamtych lodów, kojarzę tylko, że kubki wykonane były z twardego plastiku, a na etykietce widniało uśmiechnięte słońce.

Na wykresie mojego życia to one, opakowania po lodach i słodyczach, znaczyłyby wszystkie ważne chwile. Osiągnięcia, sukcesy, porażki i trudności. Wyzwania, zawody, choroby i niespodzianki. Czasami myślę, że zostawiam po sobie tylko ten pozabawiony znaczenia i niewidoczny ślad opakowań po produktach o wysokiej zawartości cukru.

Teraz mam trzydzieści lat i chyba nic już we mnie nie zostało z tamtego chłopca, który skakał wokół mamy na ulicy. Jest rok 2014, pracuję jako sprzedawca i mieszkam w Warszawie. O osobach takich jak ja mówi się „single”, ale nie jestem singlem, jestem po prostu samotny.

Dziś jest wtorek, wieczorem obejrzę mecz, a przed snem jak zawsze posiedzę trochę w internecie. Teraz stoję na balkonie i patrzę, jak mój sąsiad, pan Andrzejczak, myje samochód gąbką. Zanurza ją cierpliwie w czerwonym wiaderku pełnym piany, a potem gwałtownie przenosi nad maskę, bojąc się najwyraźniej uronić kroplę na beton. Być może jest ostatnią osobą na świecie, która robi jeszcze coś takiego – myje auto przed blokiem.

Kiwam mu znad suszarki o rozpostartych skrzydłach, z których jedno się jakiś czas temu wygięło, bym ją musiał wreszcie wymienić; ale jakoś tego wciąż nie robię, a on macha, wyprostowany, jakbym znajdował się nie na balkonie, ale w pociągu odjeżdżającym ze stacji, i wtedy dzwoni mama.

Odbieram, rozprostowując jeszcze koszulkę i poprawiając skarpetę, która zaraz zsunie się z drążka, a słońce grzeje mnie w kark i przedramiona. Pan Andrzejczak kończy pucować maskę i pochyłony bierze się do drzwi od strony kierowcy.

To właśnie wtedy, kiedy tak stoję na balkonie, powiesiwszy mokre ubrania na suszarce, i z telefonem przy uchu patrzę na sąsiada, dowiaduję się, że mój dziadek zniknął.

* * *

Mama mówi spokojnie, jakby to całe zniknięcie było czymś zwy-
czajnym, co się po prostu od czasu do czasu przydarza ludziom
w takim wieku.

– Rano, to znaczy w nocy, wiesz, bo rano to go już nie było,
Satek, tak tylko dzwonię, żebyś wiedział, no, wiesz, myślałam, że
może jest w polu albo nad stawem, pamiętasz przecież, jak tam
lubi chodzić, ale nie wrócił na obiad, to się zaczęłam martwić,
wiesz, no ale powtarzam sobie, że może gdzieś u sąsiadów...

Cierpi na bezzdaniowość, zawsze cierpiała na ten brak kropek
i innych znaków przestankowych, które pozwoliłyby wyodręb-
nić w jej wypowiedziach jakieś osobne części, i przez to ciężar
hamowania tej słownej powodzi spada zazwyczaj na rozmówcę,
na mnie.

– Mamo. Do Pieczabów dzwoniłaś?

Dzwoniła.

– Do Karmowskich?

Dzwoniła.

– Do taty?

Też.

– Dzwoniłam wszędzie, no nic, poczekajmy jeszcze trochę,
wiesz, a potem chyba na policję, on nigdy tak nie zniknął prze-
cież, tak zupełnie nic, ani słowa, wiesz, a rano to nawet... – i tak
dalej, bez końca.

* * *

Nazywam się Saturnin Markiewicz, ważę sto osiemnaście kilo-
gramów, mam lekkie zakola, nie nadużywam słów „koszmar”,
„zawsze” i „przyjaciół”, chciałbym ograniczyć słodkie, wynajmu-
ję kawalerkę przy ulicy Karmelickiej w Warszawie, w grudniu

operowano mi lewe kolano, czasami dokucza mi mały, włochaty pies sąsiada spod trójki, dosyć lubię książki przygodowe, zakupy robię w Carrefourze przy Anielewicza, gram w *Football Managera* i kocham się w farmaceutce z pobliskiej apteki.

Naprawdę nie wiem, skąd to idiotyczne imię.

Pytałem oczywiście wiele razy, mamó, mamó, dlaczego wszyscy inni mają jakoś tak normalnie, w sensie Wojtek, Radek, Przemek i Karol, a ja muszę być Saturnin?

– Saturnin to piękne imię! Nie podoba ci się?

Co miałem powiedzieć?

* * *

W zapachu prania, z telefonem ściśniętym wciąż między barkiem a głową, oślepiiony słońcem i głodny jak zawsze, przechodzę z balkonu do mieszkania, zapach zanika, chwytam telefon, siadam wreszcie, słuchając.

Pytam, gdzie dziadek mógł pójść. Mama przez chwilę nic nie mówi, jakby musiała nakręcić sprężynę, która uruchomi kolejną serię słów.

– Pójść, wiesz, no właśnie, bo właśnie, Satek, wiesz, no bo on nie na pieszo, on wziął mój samochód, no.

Aż wstaję.

– Ale czekaj. Dziadek?

* * *

Rzadko mnie dostrzegał, ale czasami się zdarzało.

Mieszkałem jeszcze wtedy w Kwilnie, chodziłem do siódmej klasy. Sobota, środek lata, popołudnie. Mama na zakupach w mieście, dziadek czymś zajęty, jak zwykle. Nie pamiętam, by kiedykolwiek pozwolił sobie na odpoczynek, na bierne

przeplwanie pomiędzy dwoma chwilami albo chociaż robienie czegoś, co nie ma określonego celu i czemuś nie służy. Nawet jeśli wieczorem oglądał z nami wiadomości, to cerował w tym czasie skarpety, czyścił nożyk do grzybów albo przynajmniej przeglądał skrzynkę z tabletkami w poszukiwaniu tych, które straciły już ważność.

Tym razem, tego sobotniego popołudnia, postanowił pozbyć się korzeni z zagajnika, który dziko rozrastał się za ruinami chlewu. Kilka najstarszych drzew ściał dużo wcześniej, a do zagajnika nie miał nawet po co chodzić, ale te korzenie widać jakoś mu przeszkadzały. Pomagał mu gruby, spocony Słodkiewicz, ojciec Bartka, z którym chodziłem do szkoły.

Skończyłem akurat oglądać potajemnie stary numer „Playboya” z panią Kasią Figurą, który stanowił jeden z moich najcenniejszych skarbów, a że zuchwale myśli o pani Kasi sprawiały mi fizyczny wręcz ból, postanowiłem trochę to rozchodzić, wiedziałem bowiem, że w pięćdziesięciu procentach przypadków takie coś pomaga. Przystanąłem na skraju zagajnika, przyglądając się, jak Słodkiewicz mocuje łańcuch do pnia, z którego zdążyły już wyrosnąć młode, zielone pędy, i jak wsiada do ciągnika, żeby tę resztkę drzewa, uczeponą ziemi jak ząb dziąsła, wyrwać w obłoku spalin. Kilka nieposłusznych macek zostało jednak na swoim miejscu, a dalej pnia pociągnąć się nie dało, bo przeszkadzał chlew. Znaczący, resztki chlewu.

Wzięli się więc obaj, mój dziadek i pan Słodkiewicz, młodszy od niego o dobrych parę dekad, do roboty ręcznie: ciągnęli „to jebane cholerstwo”, szarpali, klęli na korzeń i na siebie nawzajem, wreszcie Słodkiewicz wyprostował się, zaczerpnął tchu i wyszedł z propozycją:

– Tadek, kurwa, dajmy spokój. Urąbiesz se to później.

Rozrywany wspomnieniem oglądanej potajemnie gazety, a poza tym trochę znudzony, spragniony wrażeń, bo przecież w Kwilnie nic się nigdy nie działo, podszedłem bliżej.

– A mogę spróbować?

Dziadek zareagował w typowy dla siebie sposób, to znaczy nie powiedział nic, tylko odsunął się na bok, jakby to stanowiło aż nadto wystarczającą odpowiedź. Chwyciłem pieniek obiema rękami – był chłodny, wilgotny – i wyrwałem go za pierwszym pociągnięciem.

* * *

Tydzień później dziadek przygotował mi w stodole wydzielone miejsce do ćwiczeń z ciężarami. Była tam kula z przyspawanym uchwytem, drążek przymocowany między belkami oraz sztanga, którą zmontował z grubej rury i dwóch kół zębatach. Nie pamiętam, co wtedy powiedział, pewnie niewiele, zaprezentował mi to natomiast w taki sposób, że nie było wątpliwości: oto prezent dla mnie.

Mama miała mu to za złe i uważała, że złamię sobie kręgosłup, a przynajmniej rękę. Co kilka dni zaglądała do mojej małej, ciemnej salki gimnastycznej i na widok prowizorycznej sztangi wydawała z siebie przeciągły jęk, jakby wcale nie widziała jej już wcześniej ze dwadzieścia razy.

* * *

Rękę zламаłem po sześciu miesiącach ćwiczeń.

Uniosłem sztangę nad głowę, jak wiele razy przedtem, ale tym razem zamiast zablokować kciuk na rurze, użyłem małego chwytu, wszystkie palce zaplatając z jednej strony. Jakoś tak czasem było mi wygodniej. Ciężar wyslizgnął mi się, kiedy go

podrzucalem, rękę wygięło, nadgarstek uderzył o bark i w lokciu chrupnęło tak głośno, że bardziej przestraszyłem się tego dźwięku niż samego wypadku.

Posmarowałem się jakąś maścią, którą odnalazłem w bogatym arsenale mamy, i resztę dnia, z lepszym czy gorszym skutkiem – raczej z gorszym – spędziłem na przekonywaniu samego siebie, że absolutnie nic mi nie jest. W nocy ręka miała już rozmiary nogi i barwę bakłażanu: na pogotowiu dowiedziałem się, że to „paskudne” złamanie. Mama siedziała w poczekalni, patrząc na dziadka w taki sposób, jakby to on sam wślizgnął się nocą do mojego pokoju, by mi pogruchotać łokieć. Dziadek nie mówił nic, ale widać było, że jest mną rozczarowany.

Wsadzono mi rękę w gips.

* * *

Mam trzydzieści lat, ani jestem młody, ani stary, już bym wolał, żeby było trochę później albo trochę wcześniej nawet, żebym był jakiś konkretny, a tak niczym anonimowa mysz w kołowrotku obracam przed sobą kolejne jednakowe dni złożone z pracy, dojazdów do pracy, powrotów z pracy, zakupów, jedzenia, patrzenia w komputer i spacerów wieczorem.

Naprawdę powinienem przestać jeść słodczyce.

Za chwilę przepchnę wskazówkę wagi poza haniebne sto dwadzieścia kilogramów i wydaje mi się, że jestem dokładnie w połowie drogi pomiędzy człowiekiem napakowanym a grubym, co jest o tyle uciążliwe, że nigdy nie chciałem być ani jednym, ani drugim. Po prostu dźwigałem ciężary.

W odchudzaniu nie pomaga wcale to, że wstydę się tak wielu rzeczy, choćby kupowania tanich produktów w spożywczym. Na przykład potrzebuję pomidora – bo wszystkiego

innego akurat mam pełno. Ale wejść i kupić jednego pomidora? To po prostu zawracanie głowy. Patrzę w oczy kasjerce, a ona myśli sobie wewnątrz mojej głowy: „Co za bydlę, jednego pomidora będę mu teraz ważyć... Jakbym nie miała nic innego do roboty”.

Zazwyczaj więc, żeby usprawiedliwić jakoś swoją obecność w sklepie, kupuję jeszcze coś dodatkowego, co, myślę sobie, przyda mi się później – na przykład lody o smaku solonego karmelu. Albo ciasteczka toffi. Czekoladę mleczną z bakaliami. Rodzynki w polewie. Waniliowe ptasie mleczko. Deserek ryżowy. Kilka batonów. Pieguski, wafle, delicje, jogurty, krowki, kukulki, michalki. I tak dalej.

* * *

Przez pewien czas myślałem, że wszyscy dziadkowie są tacy. Milczący. Żyłaści. Że kiedy półnadzy pochylają się w słońcu nad uprawianą ziemią, wyglądają jak supel. Wstają o czwartej, piją kawę w ciemnej kuchni, a potem przez cały dzień pracują. Wieczorami chodzą w zarośnięte chwastami miejsce, gdzie kiedyś podobno był staw, i stoją tak, patrząc przed siebie.

Ciało mojego dziadka nie potrafi odczuwać przyjemności, je-dyne, co umie, to pracować, musi być w ciągłym ruchu, jakby bało się tego, co mogłoby się stać, gdyby na chwilę zwolniło albo się zatrzymało.

Tylko raz dziadek wytracił tę swoją prędkość. Pamiętam go, siedzącego w kuchni przy oknie, z niezapalonym papierosem w ręce. To było po śmierci babci, wrócił właśnie z zakładu pogrzebowego w Radziejowie, uparł się, że pojedzie sam.

Siedział tak i siedział.

– Może zrobię herbaty? – zapytałem.

Odwrócił się gwałtownie, jakby sądził, że cały dom jest pusty. Popatrzył na mnie i z powrotem przeniósł wzrok za okno.

– Co ja zrobię, synuś, jeśli mnie nawet starość nie zabije?

* * *

Byłem naprawdę silny. Po tamtym wypadku w stodole mama sądziła, że może już być spokojna, bo z pewnością mi przeszło, ale ja, widząc, jak niebezpiecznym zajęciem jest całe to dźwiganie, nabrałem tylko jeszcze większej ochoty do ćwiczeń.

Wszadzili mi rękę w gips, do wesela się zagoi, taki żart. Ciekawe, ile razy opatrujący mnie lekarz wypowiedział go w życiu. Poklepał mnie po ramieniu i odesłał do domu.

Niedługo po tym, jak wróciłem do zdrowia, dziadek wysuplał skądś pieniądze i kupił mi ławkę do wyciskania, prawdziwy lśniący gryf oraz koła. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek cieszył się tak jak wtedy. Trenowałem dwa, trzy razy dziennie. Wstawiałem z łóżka obolały i jadłem jak smok. W wieku szesnastu lat podnosiłem na ławce sto sześćdziesiąt kilogramów.

* * *

Nie wiem nawet, dlaczego ta dziewczyna z apteki tak mi się podoba. Z twarzy jest chyba dość przeciętna, sylwetkę ma wiecznie ukrytą pod fartuchem, włosy ciasno związuje w kucyk i czasami wygląda, jakby pod skórą twarzy nie miała w ogóle mięśni.

Szczegółowo opracowuję harmonogram odwiedzin w aptece, tak aby, mimo wysokiej częstotliwości, wydawały się choć trochę przypadkowe. Od dawna nie mam już co kupować, zwłaszcza że większość sprzedawanych tam produktów mogłaby gwałtownie obniżyć moją pozycję w oczach tej dziewczyny, nie kupię sobie przecież tabletek przeciwko nieświeżemu oddechowi ani maści

na hemoroidy. Witaminy, zatyczki do uszu, rozpuszczalne elektrolity, coś przeciwbólowego – to rozwiązania bezpieczne.

Mam w szufladzie około stu pięćdziesięciu maleńkich foliowych opakowań z zatyczkami do uszu.

* * *

Pierwszych kilkanaście zawodów w trójboju siłowym zwyciężyłem, nie zbliżając się nawet do swoich prywatnych osiągnięć ze stodoły. A potem podczas wyciskania ręka zgięła mi się w łokciu nie w tę stronę, co trzeba. Coś wybuchło mi w głowie, zemdląłem.

Trzej asekurowujący mnie mężczyźni ledwie zdążyli zareagować na czas – sztanga podobno omal nie zmiażdżyła mi krtani. Mówili mi potem, że wyglądało to naprawdę dramatycznie. Gdyby w tamtych czasach istniał YouTube, zostałbym pewnie na moment królem polskiego internetu.

W szpitalu okazało się, że po tamtym złamaniu sprzed lat ręka nie została właściwie nastawiona, co z kolei doprowadziło do poważnego zwyrodnienia stawu. Przeszedłem dwie długie operacje i znowu założono mi gips.

Lekarz nazywał się jakoś ptasio – Drozd? Jaskuła? nie potrafię już sobie tego teraz przypomnieć – i miał śmieszny zarost przypominający klęby kurzu. Na pytanie, kiedy będę mógł wrócić do treningów, odpowiedział, że nigdy.

* * *

Tak naprawdę chyba chodzi o uśmiech.

Pamiętam, kupowałem wtedy coś na kaszel i kiedy podawałem jej kartę, uśmiechnęła się w taki sposób, jakby próbowała tego nie zrobić, jakby walczyła z tym uśmiechem i ostatecznie

przegrała. Kilka dni później przyśniła mi się w jakimś zupełnie nieaptecznym kontekście, a potem to już te witaminy, elektrolity, zatyczki.

Wyobrażałem sobie kiedyś armię złożoną z ludzi takich jak ja. Dałoby się ją rozbroić jednym uśmiechem, a potem błyskawicznie zarżnąć.

* * *

Gdyby tamtego sobotniego popołudnia dziadek nie postanowił pozbyć się korzeni, być może nigdy nie wystartowałbym w żadnych trójbojowych zawodach, nie wypielegnowałbym w sobie nadziei na wielką karierę sportową i nie znenawidziłbym siebie, kiedy wyszło na jaw, że o żadnej karierze nie może być mowy. Dostałem coś, co natychmiast zostało zniszczone, ale te wszystkie marzenia, które zaległy mi się w głowie, nie zniknęły w chwili, kiedy szpitalna drukarka wypłula wypis z moim dożywotnim wyrokiem. Nocami nadal podchodzę pod ciężary, przysiadam z nimi, rwę je z ziemi i wypycham, leżąc, a potem staję na podium, unosząc puchar, z obolałymi stawami, które świadczą o tym, jak bardzo było trudno.

Nigdy nie winiłem nikogo prócz siebie. To ja uniosłem wtedy sztangę nad głowę, to ja zastosowałem małpi chwyt zamiast normalnego, wreszcie to ja ignorowałem narastający ból, który towarzyszył mi podczas bicia rekordów na lawce. Każdym kolejnym uniesieniem sztangi coraz dalej odpychałem od siebie szansę na to, że kiedykolwiek cokolwiek osiągnę.

* * *

Rozmawiam z mamą jeszcze przez kilka minut. Zadaję kolejne pytania, a ona nie zna odpowiedzi na żadne z nich. Dziadek

zawsze był dziwny, z czasem jego życie stało się życiem maszyny zaprogramowanej na pracę. Żadnej spontaniczności, żadnych odstępstw od harmonogramu dnia, tygodnia i roku.

Ucho rozgrzewa mi się od rozgrzanego telefonu, porwana nurtem własnego słowotoku mama wreszcie hamuje, a wtedy pytam, czy mogę jakoś pomóc.

– Nie, Satek, tak tylko ci chciałam, wiesz, powiedzieć, no odezwę się, jak tylko się znajdzie.

Siedzę później, obracając telefon w dłoni, i patrzę w wyłączony telewizor. Mój dziadek ma pięćdziesiąt sześć lat.

Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

